

Oium ludu rzymskiego

Autor tekstu: **Jarosław Błotny**

Obudziło mnie bolesne pulsowanie w barku, które ustąpiło dopiero, gdy przewróciłem się na wznak. Leżałem w tej pozycji jakiś czas, aż poczułem stopniową ulgę. Ból ustępował, pozostawiając po sobie tylko mrowienie w prawej dłoni i kiedy byłem już w stanie poruszyć palcami, otworzyłem oczy.

Ilda siedziała w przeciwległym rogu komnaty twarzą do paleniska. Rozczesywała włosy, przyglądając się płomieniom, które buzowały wśród wilgotnych, brzoszowych bierwion. Miała nagie plecy, odsłonięte tak nisko, że prawie widziałem jej pośladki.

— Znowu tam byłeś — powiedziała nie odwracając się.

Usiadłem na łożku.

— Mówiłem coś przez sen?

Spięta włosy w kok kilkoma szpilami, zasznurowała lnianą suknię i podeszła do łożka, siadając ostrożnie na jego skraju. Spoglądała na mnie długo i uważnie. Jej brązowe oczy lśniły.

— Wołałeś go.

— Kogo? - przetarłem twarz dłońmi.

— Mojego brata.

Wstałem i umyłem się w drewnianej misce, rozchlapując wodę na podłogę. Przegryzłem plaster rzepy, żeby wyczyścić zęby i odświeżyć oddech. Przyczesalem włosy i przystrzygłem brodę. Ilda podała mi ciepłe, germańskie spodnie i wełnianą tunikę z długimi rękawami oraz wsunęła na mały palec prawej dłoni złoty pierścień z podobizną cezara. Cierpliwie czekała, aż nałożę buty, po czym otworzyła drzwi i przeszliśmy do *tablinum*. Pobieźnie rzuciłem okiem na porzrzucone dokumenty, które leżały na stole w takim samym nieładzie, w jakim je zostawiłem poprzedniego wieczora, gdy zniknąłem za drzwiami sypialni. Usiedliśmy z Ildą za stołem w rozświetlonym pochodniami *triclinum*, gdzie służba właśnie kończyła przygotowywać śniadanie.

— Ciągle za zimno, żeby jeść na dworze — powiedziała.

Pogoda, jak zwykle w tych stronach, była zmienna. Zima, choć łagodna, nie zamierzała ustąpić, a ociągająca się, kapryśna wiosna, przynosiła raz południowe ciepło, a raz podmuchy chłodu z północy. Wysoko w górach, na trawiastych szczytach tej części Karpat, ciągle jeszcze leżał śnieg.

Śniadanie składało się z praśnego chleba i źródlanej wody. Było skromne, bo obiecałem Ildzie, że wezmę udział w pogrzebie jej ojca. Zgodnie z tradycją Asdingowie pościli w dniu kremacji. Nie miałem zamiaru zachowywać się jak przesądny barbarzyńca, ale wergeld, jaki na mnie nałożono, wymagał minimum szacunku dla Ildy i obyczajów jej przodków. Prawda o mnie i Ildzie wyglądała tak, że zrobiłbym to dla niej i bez wergeldu.

Kremacja miała się odbyć w samo południe, na cmentarzysku, położonym w pobliżu osady Asdingów. Osadę zamieszkiwali ci, którym swego czasu w zamian za obietnicę wiernej służby cesarowi, pozwolono zachować wolność. Teraz, po latach, zgodnie z edyktem tego samego cezara, wczorajsi wrogowie dołączyli do reszty pełnoprawnych rzymskich obywateli. Ciągle mówili swoim językiem i samodzielnie wybierali przywódców, lecz to co najważniejsze, czyli podatki, płacili już Rzymowi. W zamian Rzym obdarował ich wyłącznością na dostawy żywności dla wojska oraz przywilejami handlowymi w kontaktach z Barbaricum. Jak wszystkim pozostałym obywatelom zapewnił również bezpieczeństwo i udział w prowincjonalnych rządach. Za moim wstawiennictwem Asdingom pozwolono nawet z powrotem zapuścić długie włosy.

Ilda przyglądała mi się z ukosa.

— Dostaniesz wiadomość — powiedziała w pewnej chwili.

— Wiadomość?

— Jesz obiema rękami naraz — wyjaśniła.

Uśmiechnąłem się niewyraźnie.

— To jakaś wróżba?

— Naprawdę chcesz jechać ze mną? — zapytała.

— Gdybym był Asdingiem, pojechałbym?

— Musiałbyś.

Skończyłem jeść śniadanie. Założyliśmy z Ildą płaszcz i wyszliśmy przed pretorium. W nocy

Niniejszy tekst jest fragmentem książki *Wergeld królów*, która jest I tomem cyklu *Oium ludu rzymskiego*



Wyobraźcie sobie miasto Rzym

z wodociągami i kanalizacją, miejskim transportem konnym i mostami na

żelaznych przęsłach. Wyobraźcie sobie legiony rzymskie wyposażone w lunety,

kompasy i broń palną, wyruszające na podbój sąsiednich krain. Wyobraźcie

sobie niewzruszone Imperium, którego dotychczasowy, oligarchiczny system

społeczny został nagle

zakwestionowany. Oto narodziny

Nowego Porządku, który wyznaczają, niczym kamienie milowe:

przedsiębiorczość, postęp techniczny i wolność osobista. Oto świat, któremu

już nie zagraża upadek, albowiem jego władcami nie będą ci, których znamy

z podręczników historii. Oto epoka,

w której umierają stare i rodzą się nowe prądy umysłowe, zaś religie, które

szły do opanowania milionów umysłów, dzielą losy dawno zapomnianych, wymarłych kultów. Oto

Cesarstwo Rzymskie u progu

intelektualnej, społecznej

i technologicznej rewolucji. Jej

wynikiem będzie pierwsze w dziejach

świata kapitalistyczne Imperium.

musiał padać deszcz, bo dachy budynków były mokre. Maksimo, mój *magister officiorum*, okutany w wełnianą penulę, czekał na brukowanym dziedzińcu, trzymając za wodze dwa osiodłane konie. Służba przyniosła pas z samopałem, ale nie przyjąłem go. Zaniepokojony Maksimo podszedł bliżej — wczoraj wieczorem poinformowałem go, że nie wezmę eskorty, a teraz odmówiłem przyjęcia broni — z jego kwadratowej twarzy wszystko można było wyczytać. Spoglądał na mnie spode łba, jakby chciał mnie złąć.

— On był ojcem Ildy — powiedziałem, starannie oddzielając słowa. — Ilda jest moją żoną. Jej dzieci adoptowałem. Szacunek nakazuje, abym pożegnał sędziego, który nałożył na mnie wergeld.

Milczał, obrażony do żywego.

— I nie waż się kogokolwiek za mną wysyłać — ostrzegłem go.

Gdzieś w głębi obozu legionowego odezwały się trąbki sygnałowe. To ostatnia zmiana nocnej straży kończyła swoją służbę. Dosiadłem konia, zaczekałem, aż Ilda zrobi to samo i powoli wyjechaliśmy na przestronny dziedziniec kwestury. Panowały tam jeszcze spokój i cisza, a pośrodku obozowego forum czuwał, niczym wartownik, spiżowy posąg cezara. Krótkim odcinkiem wyłożonej kamiennymi płytami *via pretoria* dotarliśmy do przecinającej ją *via principalis*, wzdłuż której stały murowane kwatery trybunów i skierowaliśmy się do bramy południowej, gdzie właśnie trwała zmiana warty. Rozprowadzający centurion oddał mi honory i rozkazał otworzyć bramę. Za ciężkimi wierzejami ujrzelśmy brukowaną drogę, prowadzącą ku niewysokim wzgórzom, które porastały bukowe i świerkowe lasy. Ruszyliśmy obok siebie, Ilda i ja, zajmując całą szerokość gościńca.

Jak zwykle o poranku kilkakrotnie musieliśmy ustąpić miejsca kupieckim wozom zmierzającym do obozu, po czym skręciliśmy w boczną, piaszczystą drogę. Wspinała się ostrymi zakosami przez ciemny, wilgotny, świerkowy bór, od którego wiało przejmującym chłodem. Spomiędzy drzew dobiegały nawoływania ptaków.

— Sójki wypatrują wiosny — powiedziała Ilda.

Wydostaliśmy się na całkowicie pozbawiony drzew — efekt wichury sprzed kilku lat — szczyt kopulastego wzgórza. Roztaczał się stamtąd widok na obóz i rozrastający się wokół niego załazek rzymskiego miasta, które wzięło swój początek z położonych za murami obozu tymczasowych kwater, zamieszkałych przez obsługujących wojsko kupców i rzemieślników.

Przez chwilę przyglądałem się w milczeniu miejscu, które każdej zimy zamieniało się w mój dom. Na mapach oznaczone było jako Vandalia. Trwało na położonym poniżej nas rozległym trawiastym płaskowyzu, niczym zrzucona z niebios foremna i nienaruszalna struktura, przemyślana i dostojna, widomy znak obecności Rzymian, ich gwałtownie rozrastającego się Imperium. Nad obozem unosiła się niebieskawa chmura dymu z pieców i palenisk, wyraźnie odcinająca się od mlecznych, porannych mgieł pogórza. Udało mi się wyłowić z ciszy pobrzękiwanie metalu dochodzące z obozowych warsztatów.

Zjechaliśmy w dolinę, której środkiem płynął jeden z dopływów Tisii, rzeki biorącej swój początek w Karpatach i zmierzającej na południe, ku Danubiusowi, wyznaczającemu do niedawna północną granicę rzymskiej państwowości. Rzeka Tisia, niczym naturalna oś wodna dzieliła na dwie połowy — wschodnią i zachodnią — Sarmację, nową rzymską prowincję powstałą po wieloletnich, krwawych wojnach, toczonych z zawziętością nieznaną od pokoleń. Ta najnowsza zdobycz terytorialna, wciśnięta między podbite dużo wcześniej Pannonię i Dację, górzysta na północy i stepowa na południu, była przedmiotem dumy senatu i ludu rzymskiego. Oto bowiem znowu, po stu latach, zupełnie jak za czasów boskiego Trajana, nienasycone Imperium sięgało po każdą, nie podporządkowaną mu dotąd piędź ziemi. Rzymskie legiony znów przekraczały graniczny limes, by podbijać i przywłaszczać. Znów rozkoszowano się zdobytym zbożem, złotem, futrami oraz rudami żelaza. No i niewolnikami, rzecz jasna, tym najwspanialszym darem Barbaricum, owym mówiącym narzędziem, bez którego żadne inne bogactwo nie mogłoby cieszyć oczu wolnych ludzi.

Wąska z początku dolina rozszerzyła się po przejechaniu kilku mil. Na jej łagodnych zboczach pojawiły się zaorane pola, przygotowane pod wiosenne uprawy, a na łąkach, podchodzących do samego brzegu rzeki, pasły się stada owiec i pojedyncze sztuki bydła. Dostrzegliśmy pierwszych mieszkańców doliny. Mężczyźni nosili długie spodnie i przepasane koszule, a kobiety suknie spięte na ramionach fibulami. Kilkoro bosych dzieci wybiegło nam naprzeciw i towarzyszyło w wędrówce, trzymając się z dala od wierzchowców. Na południowym, łagodnie pochylonym zboczu doliny ujrzelśmy wieś, złożoną z kilkudziesięciu chat i zabudowań gospodarczych. Wiedziałem, że podobne osady znajdują się także dalej, w głębi doliny, za zakrętem rzeki, a w dorzeczu górnej Tisii można było znaleźć jeszcze kilkanaście takich skupisk osadniczych. Niespełna sto lat temu mieszkańcy tych wsi zajmowali ziemię po północnej stronie Karpat, ale nacisk Gotów z jednej strony i nęcająca bliskość rzymskich granic z drugiej, kazały im przekroczyć góry w poszukiwaniu bezpieczeństwa i dostatku.

Traf chciał, że nie znaleźli ani jednego, ani drugiego. Wojny z Rzymem i wrogimi ludami pogranicza osłabiły ich potęgę, a ostateczny cios zadany podczas *Expeditio Germanica Tertia* sprowadził ich liczebność do połowy stanu sprzed podjęcia migracji. Dopiero wtedy, z przetrąconym kręgosłupem, osłabieni i upokorzeni, znaleźli to, czego szukali. Żaden z ich wojowniczych wodzów sprzed kilkudziesięciu lat nie przypuszczałby, że to, czego najbardziej się obawiali, czyli rzymska niewola, przyniesie im to, czego najbardziej pragnęli — pokój i dobrobyt, a tym samym kres wędrówki szlachetnego ludu Długowłosych.

Kiedy dotarliśmy do wsi, zamieszkałej przez rodzinę Ildy, było już prawie południe. Powitało nas żałobne zawodzenie kobiet, które rozpuściły włosy i poczerniły twarze popiołem. Przed chatą, gdzie na wielkich, drewnianych marach spoczywały, przybrane w biel zwłoki ojca Ildy, siwowłosego Rapta, zebrał się kilkusetosobowy tłum. Przewodził mu Rag, młodszy brat zmarłego, uznawany przez Asdingów za rejksa — króla całego ludu. W ubiegłym roku zaproponowałem mu, aby reprezentował wszystkich Wandalów, żyjących po tej stronie Karpat, w utworzonej przeze mnie kilka lat wcześniej radzie prowincji. Po uzyskaniu zgody starszyny Asdingów i zasięgnięciu opinii Wiktofalów i Lakringów, pobratymczych, niewielkich, wandalskich plemion, żyjących na pograniczu z Dacją, Rag przyjął moją propozycję. Może i nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że przed laty spaliłem jego wieś i osobiście uśmierciłem jego synów. Rzykowałem więc życiem i powagą urzędu, zapraszając go do współpracy. Z decyzji Raga wynikało jednak, że potraktował on moją propozycję po prostu jako spłatę części wergeldu, który nałożył na mnie najwyższy sędzia Asdingów, jego brat — Rapt.

— Witaj, namiestniku — pozdrowił mnie Rag.

— Witaj - odpowiedziałem, zeskakując na ziemię.

Ilda stanęła u mojego boku, cicha i spięta, zupełnie jakby za chwilę miało wydarzyć się coś złego. Tłum żałobników wokół nas zgęstniał, żeby lepiej nam się przyjrzeć. Zabrano nam konie. Poczułem zapach niemytych ciał, wygarbowanych zwierzęcych skór i dymu z ogniska. Ktoś podał mi dzban ze zmętniałym, jęczmiennym alkoholem. Pociągnąłem kilka łyków. Prawie się zakrztusiłem, taki był mocny.

Rag dał znak mężczyznom, by unieśli mary ze zmarłym. Uformował się pochód, na czele którego podążały zawodzące kobiety, a za nimi bezładny tłum żałobników. Szedłem z czujną Ildą u boku, zaraz za trzema owdowiałymi żonami Rapta — żadna nie była matką Ildy, a wszystkie wyglądały na dużo od niej młodsze. Za nami podążał ponury Rag i starszyna plemienna, otoczona przez przekrzykujących się Wandalów. „Wracaj, bracie, skąd przybyłeś!” — tak brzmiały najczęściej powtarzane przez nich słowa.

Dotarliśmy do drewnianego mostu na rzece, który co roku trzeszczał pod naporem wiosennego przyboru wód i który co roku Wandalowie naprawiali, korzystając z umiejętności swoich synów służących w kohortach rzymskich wojsk pomocniczych. Po drugiej stronie rzeki, w miejscu oddzielonym od łąk bagnistym starorzeczem, na ogołoconym z drzew wzniesieniu, Asdingowie przed laty założyli cmentarzysko. O jego istnieniu świadczyły kamienie oznaczające groby, jakies rozpadające się drewniane konstrukcje oraz ślady spalenizny w miejscach odbytych kremacji.

Mary z Raptem złożono na chybotałej tratwie, która posłużyła jako środek transportu na drugi brzeg martwego zakola rzeki. Na tej samej tratwie na cmentarzysko przeprawili się: rejks, mężczyźni z rodziny zmarłego oraz starszyna plemienna.

Kiedy tratwa sklecona byle jak ze świerkowych pni powróciła, Ilda pchnęła mnie w jej kierunku. Wskoczyłem na śliskie bale, które zakołysały się niebezpiecznie. Po drugiej stronie czarnej jak noc wody czekał na mnie Rag. Obejrzałem się za siebie.

— Nie - stanowczo zaoponował. — Ona dziś nie może zaglądać do Nifelhajmu.

Wziąłem kilka kolejnych łyków z dzbana, który ciągle trzymałem w ręce. Alkohol palił mi gardło i wyostrzał zmysły. Poszedłem w kierunku stosu, górującego nad cmentarzyskiem. Mary stały już na jego szczycie, a obok podnieceni mężczyźni uśmiercali konia i psa, oba należące do sędziego. Zwierzęta wrywały się, jakby przeczuwając swój koniec. W powietrzu unosił się zapach krwi. Po chwili koński łeb wylądował na stosie, razem z martwym psem i osobistymi przedmiotami zmarłego. Zobaczyłem wśród nich naczynia, narzędzia i pogiętą broń. Któryś z mężczyzn zanucił pieśń, brzmiącą jak melorecytacja, w której rozpoznałem znane mi imiona oraz nazwy gór, rzek i strumieni. Prawdopodobnie przedstawiał życiową drogę, którą przebył Rapt. Potem inni mężczyźni, pociągając z dzbanów i bukłaków, dołączyli się do tego dziwnego monologu, dorzucając fakty istotne z ich punktu widzenia. Wydawało mi się, że kilkakrotnie w gąszczu obco brzmiących słów usłyszałem swoje imię.

Rag skrzesał iskry i podpalił stos. Drewno złane olejem zajęło się ogniem. Wszyscy cofnęli się, oddalając się od rozprzestrzeniającego się żaru i duszącego dymu. Sędzia Asdingów odchodził

w zaświaty wśród burzy szalejących płomieni.

Byłeś dziwnym człowiekiem, Rapt, czułem uderzający mi do głowy alkohol. Zalęknionym barbarzyńcą, który uroił sobie, że uszczknie coś z prześwietnego Imperium. Ale jednocześnie byłeś wielkim sędzią, dbającym o przyszłość swego ludu. Dobrym ojcem dla dzieci, kochającym, lecz wymagającym. Byłeś najprawdziwszym Wandalem, Rapt. Asdingiem, który po stokroć zasłużył, żeby nawet po śmierci nosić długie włosy.

— Czy wiesz, namiestniku, że nasze prawo nie umiera razem z naszymi sędziami? — usłyszałem tuż przy swoim uchu szept Raga.

Z początku nie zrozumiałem o co mu chodzi.

— Dla nas Rapt umarł, ale nie umarł wergeld nałożony przez niego — objaśnił.

Spojrzałem w jego błyszczące oczy.

— Nie jestem od osądzania waszego prawa.

— Był czas, że go nie szanowałeś, namiestniku.

— Bo go nie znałem.

Spojrzał na mnie jeszcze przenikliwiej.

— Ilda może przyjść tu jutro.

— To dobrze — odparłem. — Powinna wysypać ziarno na grobie ojca.

Ogień płonął, a wraz z nim doczesne szczątki Rapta. Dym unosił się wysoko nad stosem, kotłując się w nieruchomym powietrzu. Wandalowie obficie raczyli się alkoholem, pokrzykując i głośno pośpiewując. Pewnie nie oczekiwali, że do nich dołączę, ale od czasu do czasu poszturchiwali mnie, jakby zachęcając do udziału w uroczystości. Jednak to, czego byłem świadkiem, tak bardzo różniło się od moich dotychczasowych pogrzebowych doświadczeń, że ograniczyłem się jedynie do udziału w umiarkowanym pijaństwie.

Późnym popołudniem, gdy zawalony pod własnym ciężarem stos pogrzebowy zaczął dogasać, Rag i jego ludzie złali go obficie wodą przyniesioną w wiadrach. Potem gołymi rękami zebrali w jednym miejscu prochy Rapta i wypełnili nimi duże, zdobione naczynie z brązu. Początkowo przyglądałem się tym zabiegom z daleka, ale w końcu zbliżyłem się i włączyłem się do penetrowania pogorzelniska. Znalazłem nadpalony fragment czaszki Rapta, podniosłem go z ziemi i tknięty jakimś niewytłumaczalnym przeczuciem dołożyłem do wypełnionej po brzegi urny. Wzbudziłem tym nieklamany aplauz Asdingów.

Opróżniłem dzban do dna i poczułem, że kręci mi się w głowie. Rag mówił coś do mnie, a ja do niego, ale nic z tego nie zapamiętałem. Potykając się, udałem się za nim do centralnej części cmentarzyska, gdzie w przygotowanej jamie grobowej umieszczono urnę z prochami. Wolną przestrzeń w dole wypełniono potłuczonymi szklanymi i glinianymi naczyniami oraz pogiętym i połamanym złotem żelaznym, a całość przysypano zwęglonymi szczątkami stosu.

Przez następną godzinę wszyscy biorący udział w ceremonii dopijali nad grobem resztki alkoholu, a potem żegnali się wylewnie ze mną i z Ragiem. Stałem tam, chwielejąc się na miękkich nogach, a świat wokół mnie wirował. Niedużo brakowało, a bym zwymiotował. Zostaliśmy sami. Zbliżał się wieczór. Poczulem przenikliwy chłód. Trzeźwiałem coraz szybciej.

— Możesz przenocować w moim domu, namiestniku — odezwał się Rag.

Pochwyciłem go za ramię.

— Nic się nie zmieni — zapewniłem go. — Nikt już nie odbierze Asdingom tego, co macie. Ja jestem gwarantem tego prawa. Nic więcej mnie nie obchodzi.

Ciągle wydawał się być niespokojny.

— Rzymskie prawo nie umiera wraz z cezarami — próbowałem go uspokoić.

— Rzym i cesarz są daleko — odparł z powątpiewaniem — i nie każdy jego namiestnik przyjmuje nałożony na niego wergeld.

Uśmiechnąłem się pod nosem.

— Każdy dałby sobie nałożyć *taki* wergeld — odpowiedziałem.

(...)

(...) Kommodus pozwolił wreszcie Sammonikowi założyć nowy, czysty opatrunek. Obserwowałem go, a dziesiątki myśli tłukły mi się po głowie. Rana na potylicy cezara miała trzydzieści lat i wszystko wskazywało na to, że już nigdy się nie zagoi. Była straszliwą pozostałością po młodszej, dziesięcioletniej bez mała, fascynacji życiem gladiatorów, która zakończyła się nieudolnie sparowanym ciosem. Podobno to ta rana od trzydziestu lat wywoływała zapaści cezara, po których prefekci pretorianów, prawnicy, kanceliści, legaci wojskowi, a przede wszystkim „Grecy

z Palatynu", wszyscy bez wyjątku, jak natchnieni, zgodnie z wskazówkami cezara, odmieniali Imperium i życie jego mieszkańców. Następstwami, niezrozumiałymi dla większości, okresowych nieobecności Kommodusa w życiu publicznym, były takie wiekopomne wydarzenia, jak nadanie nadzwyczajnych uprawnień rzemieślnikom i kupcom, zrównujących ich de facto ze stanem ekwickim, czy przyznanie obywatelstwa wszystkim wolnym mieszkańcom Imperium. Nie licząc, rzecz jasna, takich drobiazgów, odmieniających życie zwykłych ludzi, jak: lunety, termometry, samopały, wodociągi ciśnieniowe i hałaśliwe maszyny napędzane parą, czyli słynne *aeolipile* Herona z Aleksandrii.

„Usta bogów”, „Wieszcz”, „Światło na końcu drogi” — takimi tytułami obdarowywał prosty lud rzymski swojego władcę — Kommodusa. Niewiele rozumiał z tego, co dzieje się dookoła, lecz skwapliwie korzystał z przeszklonych okien, mechanicznych zegarów, miejskiego transportu konnego, pomp strażackich i publicznych toalet splukiwanych wodą. Najbliższe otoczenie cezara, choć czasami podejrzewało w tym wszystkim boską interwencję, skupiało się na materializacji niesamowitych wizji swego chlebobdawcy i dobrze na tym wychodziło. Równie dobrze wychodził na tym także sam Rzym i jego obywatele.

— Chcę, żebyś towarzyszył mi podczas podróży wzdłuż granic Imperium — oświadczył Kommodus Antoninus.

Cezar często podróżował, bywał w Rzymie nie dłużej niż kilka miesięcy w roku. To nie Rzym i nie Italia były jego domem, lecz Imperium.

— Zamierzam przyjrzeć się twoim dokonaniom w Sarmacji, namiestniku.

— Jak sobie życzysz, cesarze. Zobaczysz Sarmację pogruchotaną przez wojny, lecz odzyskującą siły. Oczywiście północne pogranicze ciągle jest jeszcze wyludnione, zamieszkane głównie przez barbarzyńskie plemiona, ale wzdłuż dolnego i środkowego biegu Tisii osiedliłem już przeszło sto tysięcy kolonistów. Za dwa, trzy lata, będzie ich tam dwa razy tyle.

— Chcę odwiedzić najdalsze zakątki Imperium. Pragnę przyjrzeć się, jak układasz stosunki z pokonanymi barbarzyńcami. Byłoby niezwykle interesujące zorientować się, w jaki sposób wykorzystują nadane im przywileje.

— Płacą regularnie podatki, cesarze, a to już oznacza, że zasługują na to, co otrzymali w darze.

Kommodus zmierzył mnie przeciągłym spojrzeniem i skinął na Sereniusza Sammonika, który przysłuchiwał się naszej rozmowie.

— Dziękuję, medyku. Przyślij tu Agenora.

Sammonik spakował swoje narzędzia i opatrunki, po czym wyszedł. Agenor pojawił się niebawem, trzymając coś w dłoniach. Jego oczy, niczym oczy wiernego psa, spoczęły na Kommodusie.

— Pokaż mu to, Agenorze — rzekł cesar, wskazując mnie ruchem głowy.

Greki przysunął trójnożny, składany stolik i postawił na nim przyniesiony szklany pojemnik, wypełniony cieczą, jakby zagęszczoną wodą, na powierzchni której unosił się niewielki, podłużny kawałek drewna z przymocowaną doń poprzecznie, metalową igłą. Agenor zdjął szklane wieczko i kilkakrotnie zakręcił drewnianym, w prawo i w lewo. Podłużny wskaźnik za każdym razem wracał do swojego pierwotnego położenia.

— Wiesz co to jest? — zapytał mnie cesar.

— Nie.

— Każdy z nas chciałby mieć coś takiego w głowie. Coś, co zawsze wskazywałoby ten sam kierunek. Coś stałego i pewnego. Otóż, to urządzenie, bez względu na to czy pada deszcz, czy świeci słońce, zawsze wskazuje tę samą stronę świata. Ponoć drzemie w nim dokładnie ta sama siła, tak przynajmniej twierdzi Agenor, która tkwi w żółtych kamieniach, zwanych *electrum*, sprowadzanych z Oceanu Sarmackiego. Pewnie znasz je, bo Flawiusz Barbio z Akwilei twierdzi, że jesteś jednym z jego największych dostawców.

— Barbio mówi prawdę, cesarze.

— Jeszcze w tym roku wytworzymy tyle tych urządzeń, że prezentujemy je każdemu centurionowi...

A więc jednak wojna, pomyślałem.

-...oraz wyposażymy w nie wszystkie nasze okręty. Wyobrażasz sobie armię, która zmierza we właściwym kierunku i flotę, która płynie do właściwego portu, bez względu na to, czy widać gwiazdy na niebie, czy ich nie widać?

— To niezwykły wynalazek, cesarze.

— Powstał dzięki Antoniuszowi Agenorowi, człowiekowi, który robi wszystko, żeby tylko zadośćuczynić rojeniom swojego cezara.

Zerknąłem na Agenora.

— Trajan miał na swoje usługi Apollodora z Damaszku, a ja mam Agenora z Antiochii - ciągnął cesarz. — Śmiem twierdzić, że mój Grek jest po stokroć cenniejszy.

Antoniusz Agenor stał jak posąg i nic nie mówił.

— Agenorze - odezwał się cesarz. — Przynieś moje ostatnie pismo do namiestnika Sarmacji.

Do mnie? zdziwiłem się w myślach. Siwowłosa Grek zniknął za drzwiami komnaty, by po chwili wrócić z pudełkiem wypełnionym rulonami korespondencji. Wyciągnął jeden z nich, przyjrzał mu się i podał mi go, uśmiechając się sam do siebie. Przez chwilę nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Zobaczyłem ten sam list, o tej samej treści, skreślony tymi samymi, zgrabnymi literami... List cesarza, wzywający mnie do Dacji... Jakbym cofnął się w czasie — znalazłem się w wiosce Asdingów, podczas pogrzebu ojca Ildy...

Usłyszałem śmiech cesarza.

— Ależ nie, namiestniku! To nie jest oryginał! Nikt nie grzebał w twoich rzeczach. Ale nie jest to też zwykła kopia. Możemy wytworzyć dowolną ilość pism o tej samej treści. Możemy wydać ten sam rozkaz na piśmie, w tej samej chwili, w dowolnej ilości egzemplarzy. A najciekawsze, że ja, autor tego pisma, mogę nie mieć w nim żadnego udziału, za wyjątkiem wydania polecenia jego przygotowania. Składam tylko podpis pod pieczęcią i to wszystko. Tak, tak, oczywiście, wiem, o czym myślisz. Zapewniam cię, że fałszerstwo jest niemożliwe. Urządzenie, które odciska litery tak zdumiewająco podobne do moich własnych, jest za każdym razem starannie zabezpieczone i nikt niepowołany nie ma do niego dostępu. Prefekt mojej kancelarii odpowiada za nie głową.

Oniemiałem. Urządzenie odciskające litery? Pismo, które nie musi wyjść spod ręki piszącego? To dlatego odwołano z prowincji skrybów przepisujących pracownicy "Acta Publica" i zaczęto dostarczać je wprost z Rzymu?

Oczami wyobraźni zobaczyłem pierwszy akapit „Wojny galijskiej” Juliusza Cezara odcisnięty w nieskończonej ilości egzemplarzy... *Gallia est omnis divisa in partes tres...* Galia dzieli się na trzy części... A zaraz obok... „Od założenia Miasta” Liwiusza... „Dziesięć ksiąg o nauce” Warrona... „O naturze wszechrzeczy” Lukrecjusza... „Dialogi” Seneki... „Dzieje” Tacyta... „Mechanika” Herona... „Ciało człowieka” Sammonika... Tysiące tomów, stojące równo na półkach, niczym doborowe centurie legionistów.

— Biblioteka w każdym mieście? — wyszeptalem drżącym głosem.

— Co to, to nie! — zaproponował Kommodus Antoninus. — Nie tak szybko. Jak mawiali nasi przodkowie: „Litera uczy, ale litera też szkodzi”. Tysiąc ksiąg może być gorszą bronią niż tysiąc sztyletów. Słowa mogą zabijać równie dobrze jak naostrzone miecze. Nie wierzysz? Agenorze, przynieś „Krytykę naszej historii”!

Antoniusz Agenor posłusznie znów zniknął za drzwiami. Tym razem przez dłuższy czas staliśmy sami, naprzeciwko siebie: cesarz i ja, namiestnik jednej z jego prowincji. On spoglądał na mnie, a ja spoglądałem na niego. Nie odzywaliśmy się do siebie. Kiedy Agenor wreszcie wrócił, cesarz przejął od niego księgę w drewnianej oprawie, długo wertował strony, mrużąc coś niezrozumiale, aż wreszcie znalazł to, czego szukał, podał mi i polecił:

— Czytaj.

Zacząłem bezgłośnie czytać:

Oto znamiona naszych czasów — wszystko, co stworzyli ludzie, ulega przekształceniom niczym glina w rękach garncarza, a wszystko, co boskie jest odzierane ze znamion świętości. Nagle oglądamy swoje życie takim, jakie ono jest w rzeczywistości, a nie takim, jakie powstaje w naszych wyobrażeniach. Potrzebujemy milionów rąk do pracy, nieprzebranych zasobów ziemi, złota, drewna i żelaza, a nade wszystko — ust, które to wszystko pochłoną, wnętrzości, które to przetrwają i pękających, brzęczących trzosów, które za to wszystko zapłacą. Dręcząca potrzeba ustawicznego poszukiwania miejsc, gdzie możemy spieniężyć uformowane w skarb nawet najsmrodliwsze łajno, gna nas od krańca do krańca ziemi, oraz od oceanu do oceanu. Musimy się wszędzie pojawić, obwąchać każdy kąt, ustanowić swoje panowanie, a następnie rozejrzeć się za nową ofiarą. Mówimy wszystkim, jak mają myśleć, co produkować i spożywać. Przekonujemy całe narody, aby uznały wykreowaną przez nas rzeczywistość za własną, jeśli nie chcą zostać unicestwione. Zmuszamy je, aby wprowadziły u siebie nowe prawo i obyczaje, co oznacza, że muszą one stać się r z y m s k i e. Innymi słowy, stwarzamy nowy, własny świat na obraz i podobieństwo swoje, zastępujemy bogów i boginie, uśmiercamy dotychczasową filozofii i etykę, kreujemy od podstaw samych siebie w nieuporządkowanym, chaotycznym, jednoczesnym akcie stworzenia i przemiany...

— Wystarczy, namiestniku.

Czułem jak zlewa mnie zimny pot. Chciałem oddać księgę cesarowi, ale on jej nie przyjął i powiedział:

— To dla ciebie, zatrzymaj ją, mam kilka innych egzemplarzy. Niby nic takiego, prawda? Niby tylko słowa? Niby zwykły opis rzeczywistości? I na dodatek można by się w tym wszystkim doszukiwać jakiejś pochwały naszego sposobu życia. Ale co się stanie, jeśli przeczyta to ktoś, komu ta nasza rzeczywistość nie odpowiada? Jeśli pod wpływem tego, co przeczyta, zacznie myśleć na opak? Jeśli zacznie o tym rozpowiadać gdzieś na krańcach Imperium, dajmy na to... w Sarmacji? Albo, co gorsza, w samym Rzymie? Co wtedy, namiestniku? Czujesz jaką siłę oddziaływania mogą mieć takie słowa? One mogą służyć wszystkim, zarówno naszym przyjaciołom, jak i naszym wrogom. Mogą być tarczą i mieczem jednocześnie. Dlatego zanim pozwolę, by ktokolwiek mógł odciskać księgi, gdzie tylko zechce i kiedy tylko zechce, bardzo głęboko się nad tym zastanowię. Bardzo głęboko. Bo akurat teraz nie potrzeba mi tumultu w senacie i zgiełku na ulicach rzymskich miast.

Przypomniałem sobie jak kilka lat temu wyprowadził na ulice Rzymu pretorianów, by rozprawić się z plebsem, domagającym się darmowego zboża i trzydziestodniowych igrzysk, mających uczcić koniec wojny z Partami. Zgiełk na ulicach to nie było coś takiego, co by go mogło wystraszyć. Więc o co mu chodziło?

— Ideą twojego panowania była jak dotąd walka z ciszą — zwróciłem nieśmiało uwagę. - Sam to tak kiedyś nazwałś, cesarze.

Spojrzał na mnie z uznaniem.

— W ciszy tym bardziej donośnie zabrzmiało moje wezwanie do nieskrępowanego wyrażania myśli - odrzekł.

— Pod warunkiem, że nie zabraknie odważnych do zabrania głosu.

— Moja w tym głowa, by właśnie tak się stało. Po to przyjęliśmy zasadę, że karać będziemy tylko za czyny, a nie za to, co kto myśli.

— Kto jest autorem „Krytyki naszej historii”? — zapytałem po chwili zastanowienia.

— Kasjusz Dion, prefekt mojej kancelarii.

Zrobiłem wielkie oczy.

— Tak, tak - cesarz roześmiał się, machnąwszy ręką. — Panuję już przeszło czterdzieści lat i zdążyłem się pewnych rzeczy nauczyć. Kasjusz, gdyby go zapytać, pewnie przysięgłby, że gotów jest się za mnie dać pokrajać, ale wiem też z doświadczenia, że gdyby kiedyś przyszło mu do głowy coś dziwnego, to lepiej mieć go po swojej stronie. Jesteś głodny, Lentiwiuszu Katello?

— Nie, cesarze.

— Ale pewnie zastanawiasz się, dlaczego zanudzam cię tymi wszystkimi opowieściami?

Spojrzałem głęboko w oczy Kommodusa. Były zapadnięte i podkrążone. Albo niedawno wyszedł z zapaści, albo były to objawy jakiejś innej choroby.

— Dawno nie byłem aż tak podekscytowany, cesarze.

Kommodus roześmiał się głucho.

— Bez zbytniego wysiłku podtrzymam cię w tym stanie ducha jeszcze przez najbliższe tygodnie. No, to jak, zjesz ze mną kolację, czy wzgardzisz suszoną rybą i kobyliłm mlekiem?

(...)

(...) Kommodus wstał zza stołu, dał znak ręką Papinianowi, że jeszcze wróci, po czym podążył ku drzwiom prowadzącym do prywatnej części rezydencji. Pośpieszyłem za nim wąską, krętą klatką schodową, która zaprowadziła nas na piętro. Znajdował się tam obszerny taras, na którym latem jadano posiłki. Roztaczał się z niego widok na leniwe wody Danubiusu i przeciwległy brzeg rzeki. Teraz wszystko ginęło w zapadającym zmroku. Stanęliśmy obok siebie przy kamiennej balustradzie. Chłodny, jesienny wiatr kołysał koronami pobliskich drzew. Gdzieś za naszymi plecami rozbrzmiewały cichnące odgłosy miasta, szykującego się do nocnego odpoczynku.

— Dokonałem wyboru już jakiś czas temu — powiedział Kommodus spoglądając na mnie z ukosa. - Ale *consilium principis* ma też swoje prawa. Musiałem dać im wybrać między namiestnikiem Sarmacji a namiestnikiem Markomanii.

Wzdrygnąłem się na samą myśl, że ktoś inny mógłby tu teraz stać z Kommodusem.. I rozmawiać... O czym?.. O mnie?.. O nas?.. Jakże cienka granica dzieliła moje wyobrażenia od rzeczywistości!

— Septymiesz Basjan. Co o nim sądzisz, namiestniku?

— To zły człowiek, cesarze.

— Nie lubisz go?

- Nie.
- Jego ojciec, Septymiusz Sewer, był wielkim wodzem. To on mianował cię prefektem jazdy?
- Tak.
- Dotarła do ciebie wiadomość, że nie żyje?
- Kto? Sewer? Nie...
- Zmarł latem ubiegłego roku w swoim rodzinnym Leptis Magna.
- Nie wiedziałem.
- Złośliwi twierdzą, że jego śmierć ośmieliła mnie.

Nie odpowiedziałem.

— Wiesz jaką kiedyś dał mi radę? „Dbaj o pieniądze i o żołnierzy, o resztę się nie martw”. Proste, prawda?

- Basjan najwidoczniej stosuje się do jego zaleceń.
- Nic dziwnego. Jest jego synem.

Nad naszymi głowami odezwały się dzikie gęsi, których klucze od kilku dni ciągnęły na południe. Kommodus zadął głowę ku górze, ale w zapadających ciemnościach nic nie można było dostrzec.

- Co z nim zrobisz, cesarze? — zapytałem.
- Znajdę dla niego miejsce w sztabie Klodiusza Albina... Wiesz, że ma brata?
- Wiem.

— Geta studiował w Aleksandrii u Ammoniusza Sakkasa. Jest zupełnie inny niż Basjan. Zaopiekuj się nim. Weźmiesz go do swojego sztabu.

— Dlaczego?

— Dlatego, że to dobry pomysł. Podobnie jak przydzielenie ci Oklatyniusza Adwenta i Herenniusza Modestusa.

— Hmm... Będą mnie pilnować, cesarze?

— A trzeba cię pilnować? Nauczysz ich jak przekształcać Barbaricum w Imperium. To poważne wyzwanie. Jesteś zdolny udzielić im tej lekcji. Pomyślę też o twoim duchowym rozwoju. Chcę, żeby filozofowie i kapłani służyli ci radą, a przy okazji otoczyli opieką także żołnierzy. Kapłanów traktuj tak, jakby delegowało ich moje osobiste kolegium fecjałów. Wiem, że może to wzbudzi twoje zdziwienie, ale skoro poradziłeś sobie z barbarzyńcami, to poradzisz sobie również z wyznawcami Kybele, Mitry czy Christosa.

— Oni też tam będą? Wyznawcy Christosa? Na wojnie?

— Masz coś przeciwko nim? Wiara zakazuje im noszenia broni, więc unikają służby wojskowej, co poniekąd jest mi na rękę. Służą głównie jako woźnice i poganiacze. Czy to Sakkas wyrobił ci o nich złą opinię?

— Już nie są uważani za wichrzycieli?

— Był tylko jeden prawdziwy wichrzyciel — cesarz zmarszczył czoło.

Kwintus Tertulian. To jego nazwisko od razu przyszło mi do głowy. Wyrok śmierci na Tertuliana — efekt niespodziewanej interwencji Kommodusa w fundamenty Nowego Porządku, wstrząsnął Rzymem przed kilku laty. Naruszał dotychczas tolerancyjny stosunek do wyznań, które zwolnione były z oddawania czci boskiej poprzednikom cesarza. Był sygnałem dla tych, którzy ośmielali się zgłębiać tajemnice świata za pomocą innych narzędzi niż rozum, ostrzeżeniem dla licznych zwolenników - głównie azjatyckich — kultów, którzy porzucając logos wybierali jego przeciwieństwo, morię, czyli szaleństwo. To właśnie wtedy ostatecznie zakazano pod groźbą śmierci pozyskiwania nowych wyznawców wiary w Christosa wśród Rzymian i odrzucono trajańską zasadę *conquirendi non sunt*, która nie włączała Imperium do ich ścigania, lecz surową karą groziła jedynie tym, którzy zostali zadenuncjowani. Postanowiono tępić wszelkie przejawy wrogości wymierzonej w akceptowany oficjalnie *cultus deorum*, a Tertuliana stracono nie tylko za głoszenie radykalnych poglądów, lecz również za niegodny rzymskiego retora sprzeciw wobec nowych praw, do których odwoływał się sam cesarz.

— To fanatyzm i zaślepienie doprowadziły go przed trybunał — powiedział Kommodus patrząc przed siebie. — Po stokroć zasłużył na to, co otrzymał. Czy wiesz, że namawiał żołnierzy do porzucania służby? Że prowokował do burzenia świątyń? Że wzywał przy tym do śmierci za wiarę? A wiesz, jak się bronił ten bezrozumny szaleniec? Nie był w stanie logicznie odeprzeć żadnego z zarzutów oskarżycieli. Dowodził, że musi wierzyć, gdyż wiara to absurd. Twierdził, że powstanie z grobu jest pewne, ponieważ niemożliwe. Że od chwili poznania nowych żydowskich nauk nie

odczuwa już żadnej ciekawości. Sakkas prawie zemdłał słysząc te głupstwa. Po tym wszystkim nawet współwyznawcy Tertuliana odwrócili się od niego.

— Ale nie spuszczasz z nich wzroku, cesarze?

— Nie spuszczam. Wiem, że mają teraz dwóch skłóconych przywódców i toczą dysputy godnych ubogiego rozumu, czy Christos był bogiem, czy tylko synem boga. Zaś w wolnych chwilach zajmują się tym, na co jeszcze łaskawie im pozwalam - zbawianiem swoich dusz.

— To chyba ostatnio najczęściej używane słowo w Imperium — zauważyłem.

— Zbawienie — powtórzył. — Jak myślisz dlaczego nie schodzi z ust tych wszystkich wyznawców nauk Szymona, Christosa, Apoloniusza, Peregrinosa i innych?

— Bo ludzi pociąga przykład oparty na wierze w nieśmiertelność i boskie posłannictwo.

— Oraz na ofierze z życia... To właśnie niepokoi mnie najbardziej. Czy nasz świat jest aż tak zepsuty? Czy jesteśmy aż tacy grzeszni? Może faktycznie tylko śmierć świętych mężów może odkupić nasze winy?

— A jakież to winy mamy na sumieniu, żebyśmy nie mogli odkupić ich sami? — zapytałem.

Cezar uniósł brwi z zainteresowaniem, ale nie odpowiedział.

— Cezarze, swego czasu zapragnąłem kary, wiesz o tym dobrze — ciągnąłem. — Tymczasem, choć w myślach krzychałem wniebogłose, Bóg nie przyszedł do mnie, co może poddawać w wątpliwość samo jego istnienie, bo gdyby istniał, nie miałby dla mnie innej kary niż ta, o którą go prosiłem.

- Przeceniasz się, namiestniku. Myślisz, że Bóg nie ma nic innego do roboty, jak tylko spełniać czyjeś życzenia? Oczekujesz od niego zwykłej, ludzkiej logiki? Bóg tworzy oceany, a nie fale na oceanach. Poza tym, nie słyszałeś o apokastazie? Bóg okazuje miłosierdzie wszystkim, nawet zbrodniarzom. Może okazane ci miłosierdzie było właśnie dowodem na jego istnienie?

- Miłosierdzie okazali mi ludzie, a nie Bóg.

— Podobno Christos był jednym i drugim.

— Sam przed chwilą powiedziałaś, że nawet jego wyznawcy nie wiedzą, jak było naprawdę.

- Rzeczywiście czasem o tym zapominam. — Cezar przyglądał rozwichrzoną brodę. - Niedawno poprosiłem Sakkasa, żeby streścił mi przyczyny ich obecnych, wewnętrznych sporów. Ale nie tych codziennych, dotyczących przywództwa i pieniędzy. Klóć się o wzajemny stosunek natur Christosa, boskiej i ludzkiej. Jeśli, rzecz jasna, nie był on tylko zwykłym żydowskim spiskowcem, szaleńcem czy natchnionym mówcą.

— Więc jeśli nie był?

— Niektórzy z jego wyznawców uważają, że Christos był obdarzonym nadzwyczajną mocą, lecz jedynie przybranym, a nie prawdziwym synem bożym. Inni twierdzą, że stał się jego synem, gdyż bóg, choć ma tylko jedną postać, po prostu wcielił się w niego. Ale wielki spór wśród jego wyznawców niebawem rozegra się o coś zupełnie innego. Na razie oni sami jeszcze nie wiedzą, o co mogą się fundamentalnie posprzeczać.

— A o co?

— Posłuchaj tylko — w głosie cesarza wyczułem ekscytację. — Jeśli Christos został stworzony przez Boga, to nie był z nim tożsamy, czyli identyczny, pojmujesz? Ale jeśli został przez niego zrodzony, to musiał być z nim tożsamy, czyli identyczny. Jedno i drugie powoduje konsekwencje, sięgające samych fundamentów ich wiary. Wyobrażasz sobie za pomocą jakich mętnych wywodów zaczną niebawem objaśniać jedno lub drugie? Wiesz o czym mówię? Zastanawialiśmy się z Sakkasem, jak oni sobie z tym wszystkim poradzą?

— Nie poradzą sobie, cesarze. Język prawdy musi być prosty. Jeśli taki nie jest, otwiera drogę do kłamstwa.

— Miłe dla ucha kłamstwa powtarzane po wielokroć już nie raz zdobywały uznanie.

— Czy to oznacza, że przez to stały się prawdą?

Oczy Kommodusa zalśniły w ciemnościach. Chwycił mnie za ramię.

— Podobno Bóg posłał Christosa, żeby zbawił ludzkość. Może posłał też kogoś do ciebie?

— Do mnie? Niby kogo? Asdingów?

— Asdingów? Zaraz wszystkich? Jeden by nie wystarczył? Albo jedna? Przy okazji... Kogo pošlesz z moim posłaniem do ludów północy? Syna Ildy?

Potwierdziłem bez słowa, z ponurą miną.

— Nie będzie zadowolona, co?

— Jak każda matka. Ale jako córka Rapti nie sprzeciwi się.

— Jesteś człowiekiem nowej ery, Marku Lentiwiuszu Katello — oświadczył nieoczekiwanie cesarz.

— Czytasz „Krytykę naszej historii” Diona?

— Czytam.

— To dobrze. Wiesz dlaczego ciebie wybrałem?

— Hmm... Bo jestem człowiekiem nowej ery?

Roześmiał się.

— Bo nie potrzebuję legatów, którzy odnoszą zwycięstwa, tylko takich, którzy potrafią je wykorzystać. Poza tym należysz do ludzi, których przed występkiem powstrzymuje samorodna cnota, a nie strach przed bogami.

Nie miałem odwagi, by skomentować to, co powiedział.

— Ja już chyba wiem, jak to wszystko działa — ciągnął. — Wiesz, te zmiany... ten ciągły ruch... ten pęd do przodu... Wiesz o czym mówię?

— Nie.

— Wiesz dlaczego nasze Imperium trwa od tysiąca lat? Odpowiem ci — bo potrafi rozwiązywać sprzeczności. Kiedyś po prostu przenosiło je na zewnątrz. Bogaciło się kosztem innych. Nędzę leczyło podbojami. Teraz jednak wszystko zaczyna wyglądać inaczej. Zauważyłeś, że gdy narasta niepokój, to są tylko dwa sposoby utrzymania porządku? Krew albo prawo. Nie ma innego sposobu. Szukałem i nie znalazłem. Dlatego zawsze musi istnieć ktoś, komu zależy na zmianach i zawsze musi być ktoś, kto zapanuje nad chaosem, jaki zmiany wywołują. I najlepiej, jeśli będzie to ta sama osoba. A już w ogóle najlepiej by było, gdyby to nie był człowiek. Dlatego w sumie dobrze, że senat i lud rzymski uważają cesarów za bogów, ha, ha, ha!... Słuchasz mnie?

— Tak, słucham.

— Teraz coś się zmienia. Ja to czuję, Lentiwiuszu Katello. Wojna z ludami Wolnej Germanii nie rozwiąże naszych problemów. Podboje nie zaspokoją naszych potrzeb. A już na pewno nie będzie tak, jak w zamierzchłych czasach, gdy patrycjuszom udawało się kupować przywódców biedoty za złoto i zaszczyty. To już się nieodwołalnie skończyło. Wprowadziłem takie prawa, które umożliwią biednym zdobywanie bogactwa, a bogaczom zagrożą prawdziwą biedą. Żaden syn garncarza nie będzie już musiał iść w ślady swojego ojca. Nikt nie będzie musiał być żeglarzem, tylko dlatego, że urodził się w portowym magazynie. Owszem, zawsze mniejszość będzie rządzić większością, albowiem to słuszne, żeby mądrzejsi zarządzili głępszymi. Łatwo się z tym pogodzić, podobnie jak z zasadą, że jedyną stałą rzeczą staje się zmiana. Wiesz, że w nowym świecie, który rodzi się na naszych oczach, zwycięzcami będą nie hodowla i uprawa roli, lecz handel, rzemiosło i wytwórczość? Słyszałeś, że Antoniusz Agenor konstruuje pojazd napędzany parą wodną?

— Słyszałem.

— Jestem pod wrażeniem tego projektu. Choć wątpię, czy zaspokoi on moje żądze. Czy czytasz Diona? Ach, prawda, pytałem... Kiedy już wrócisz z tej wojny, chcę, żebyś otrzymał senatorską togę. Będę potrzebował wokół siebie ludzi mądrych i nieugiętych, a Rzym ciągle kłania się tradycji, która mnie irytuje. No, co tak patrzysz? Jak myślisz, na początek stanowisko konsula będzie dla ciebie odpowiednie?

- *Cursus honorum*, cesarze...

— Co tam *cursus honorum*! Będziesz jak Pompejusz — wielki, ale zupełnie bez historii! Tworzę nowy świat, gdzie o zaszczytach nie decyduje pochodzenie, lecz zasługi i przymioty ducha! Chcę, by tacy, jak ty, przybywali do Rzymu i stanowili nowe prawa! Czy to coś zdrożnego?

— Nie, cesarze.

— Więc zawołaj teraz kogoś z medyków, bo zaczyna mnie boleć głowa. Jak zwykle, gdy to się dzieje.

— Co? Co się dzieje?

Zachwiał się i zatoczył.

— Jak to co, namiestniku? Właśnie to. To, dzięki czemu wielbią mnie i nienawidzą. Pośpiesz się! Za chwilę stracę przytomność i wolałbym, żeby Adwent nie pomyślał, że to twoja sprawka. Mógłby nie uwierzyć, że po prostu ot tak sobie gawędziliśmy. No, na co czekasz, człowieku? Namiestniku, senatorze, konsulu, czy kim tam jeszcze kiedyś będziesz w przyszłości, pomóż mi!... Proszę!

Zareagowałem w ostatniej chwili. Zdażyłem go pochwytać, tak, że nie upadł bezwładnie na kamienną posadzkę. Ułożyłem go wygodnie z głową na moich kolanach. Zacząłem krzyczeć, coraz głośniej i głośniej, a potem już tylko przyglądałem się, jak ze wszystkich stron zbiegają się: służba, pretorianie i dostojnicy. Minęło sporo czasu zanim pojawił się pierwszy medyk. Trzymałem głowę cesara w omdlewających rękach, a gardło zalepiał mi bezgłośny szloch. Niedużo brakowało, by łzy popłynęły mi po policzkach. Zupełnie, jakbym przewidywał, że już nigdy więcej go nie zobaczę.

Jakbym wiedział, że już nigdy więcej nie zamienię z nim nawet paru słów na temat wzbudającego lęk nowego świata, którego cesar był — zapewne w części świadomym, a w części nieświadomym — projektantem i twórcą.

Zobacz także te strony:

[Przyczyny triumfu chrześcijan](#)

[Dzieło Chrystusa zburzyło Rzym](#)

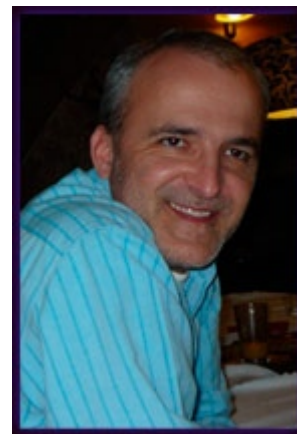
[Upadek cywilizacji antycznej](#)

Jarosław Błotny

Ur. 1964, absolwent dziennikarstwa UAM w Poznaniu (pracy w zawodzie nigdy nie podjął), studia podyplomowe z marketingu oraz organizacji i zarządzania. Pracował jako asystent na jednej z poznańskich wyższych uczelni, a później jako rzecznik prasowy oraz szef marketingu i public relations w dużej firmie z branży energetycznej. Obecnie zarządza jedną z jej spółek zależnych. Debiutował w 1986 roku na łamach almanachu młodej poezji wielkopolskiej „Przedpole”. Powrócił do pisania, gdy stwierdził, że z trudem znajduje w księgarniach światy, o których chciałby czytać. W efekcie w 2006 roku opublikował dobrze przyjętą powieść science – fiction pt. „Plan wymierania”.

[Strona www autora](#)

[Pokaż inne teksty autora](#)



(Publikacja: 06-01-2011)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,808) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,808>)

Contents Copyright © 2000-2011 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2011 Michał Przech

Autorem portalu Racjonalista.pl jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.
Właścicielami portalu są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie strony tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl